Rok XX. — Nr 1. Styczeń 1912.



Święty Piotrze Klawerze,
Apostole murzynów,
módl się za nami!

ECHO z AFRYKI

katolicki miesięcznik misyjny illustrowany.

BŁOGOSŁAWIONY przez Ich Świątobliwości LEONA XIII i PIUSA X.

PRENUMERATA ROCZNA: kor. 1·50, mk. 1·50, rb. 1, cents am. 60.

„MATKA BOŻA“ w stacyi misyjnej Kakamoeka (filii Loango).

Przez O. Le Scao, C. S. Sp.

Biblioteka Jagiellońska
1002113977

I. Początki.

Po powrocie mym z Francyi, otrzymałem polecenie od X. Biskupa Derouela odwiedzenia chrześcijan, rozrzuconych dokoła dawnej stacyi misyjnej Budianga. Równocześnie miałem zbadać okolice Kakamoeki i Yaka de Madoko. Czterech tragarzy, dwoje dzieci i ja z kompasem, który miał służyć za przewodnika, opuściliśmy Loango dnia 23 sierpnia.

Drogą, którą zwykle zdążają karawany, dotarliśmy do Dumangi, stamtąd na północ, i po dwóch dniach stanęliśmy w Kakamoeka. Tym sposobem dostąpiłem szczęścia głoszenia po raz pierwszy Dobrej Nowiny w okolicy Monyny, Kinangi, Myamby, Mbomy i Kiwoko. W Kakamoeka odpoczęliśmy przez dwa dni, a potem znowu naprzód, w krainę nieznaną!

We dwie godziny przeszedłem trzy wioski i przedstawiłem się naczelnikowi Ndilu-Mamba. Po krótkiem wyjaśnieniu głównych prawd naszej wiary św. i skromnym posiłku, daję hasło do ruszenia dalej, ale dobry naczelnik zaczyna się sprzeciwiać:

— Nie odjedziesz, Ojcze!

— Dlaczego?

— Bo pragniemy, abyś pozostał z nami. Czyż my nie jesteśmy także ludźmi? Idziesz nauczać dalej Czangwizów, Kongizów, Ponusów, a nami chcesz wzgardzić? Pragniesz nauczać dzieci? Tu są dzieci także.

— Dobrze — odrzekłem. — Gdzie są wasze dzieci?

— Zostań tylko przez tę noc u nas, a jutro przed południem zobaczysz więcej niż trzydzieści dzieci, które chętnie będą słuchały twej nauki.

— Na słowo, ale pamiętaj, jeśli mi nie przyprowadzisz tej liczby dzieci....

Tragarze niezmiernie radzi, że będą mieli jeszcze jeden dzień spoczynku, zaczęli rozkładać namiot polowy, ja zaś udałem się z jednym murzynem na przegląd okolicy. O godzinie 5 wróciłem śmiertelnie znużony i wcale nie zachwycony wycieczką w góry, choć przyjęcie w tych pięciu wioskach, które przeszedłem, było sympatyczne.

Wieczorem rozpocząłem naukę katechizmu, poczem doznałem szczęścia ochrzczenia staruszki, zwanej dotychczas Ngombe, a którą w niebie poznacie pod mianem Anny-Maryi.

Dnia następnego zaczęły się dzieci schodzić: po dwoje, po troje, począwszy od godziny 9 rano, a około 11 było ich już 28. A więc twierdzenie tutejszych murzynów było słuszne, ludność jest dość liczna, tylko wioski leżą daleko jedna od drugiej. A więc czy nie powinienem usłuchać prośby naczelnika i spróbować pracy w Ndilu-Mamba? Niedaleko stąd do Kakamoeki, a rzeka Kuilu jest aż do tego punktu żeglowna. Nadto Kakamoeka stanowi łącznik między ludami zamieszkującymi wnętrze, a mieszkańcami wybrzeża. W czasie posusznych miesięcy w r. 1908 przybyło z głębi kraju 22.000 murzynów w celu wymiany przyniesionego kauczuku na sól. Czyż w czasie tej wędrówki nie znalazłaby się dla misyonarza sposobność do wywarcia wpływu na tych, którzy przychodzą i odchodzą. Możeby się udało otrzymać od nich przyrzeczenie, że przyślą dzieci na naukę do misyi. Połączenie z Loango jest dość łatwe, dzięki uprzejmości Tow. handlowego C. P. K. N., które użycza misyonarzowi gościnności na swoim małym parowcu, i w ten sposób podróż, która lądem trwa cztery dni, można odbyć w dniu jednym.

O wszystkich tych okolicznościach napisałem do Najprzew. X. Wikaryusza apostolskiego. Naczelnik Ndilu-Mamby postarał się o zaniesienie listu do Loango, a ja udałem się w dalszą podróż.

W dziesięć dni później doścignął mnie mój dzielny naczelnik w Montambie, przynosząc odpowiedź X. Biskupa, udzielającego mi pozwolenia zużytkowania zebranych we Francyi jałmużn na założenie stacyi misyjnej w Ndilu-Mamba. Jakże czułem się szczęśliwy na myśl, że mam przed sobą tak szerokie pole do pracy. Przyspieszyłem podróż i stanąłem dnia 24 października z powrotem w Loango.

Nieprzyjaciel dusz, widząc królestwo swe zagrożone i władzę swą zachwianą, zaczął mnożyć takie trudności, że przedsięwzięcie zdawało się już upadać. Ale Marya, *Matka Boża,* raczyła dać i tym razem dowód, że nigdy nie była wzywana napróżno. Kiedy, po ludzku sądząc, wszystkie starania zdawały się obracać wniwecz, naraz, jakby na zawołanie, wszystkie przeszkody się usunęły.

Dnia 27 października wyruszyłem z młodym chrześcijaninem, którego wykupiłem we wnętrzu kraju w kierunku Konilu, dnia 28 stanąłem w Kakamoeka, a 29 byłem już w Ndilu-Mamba, gdzie ci dobrzy ludzie zbudowali dla mnie chatę tymczasową. Odrazu umówiłem ośmiu murzynów za 5 franków miesięcznej płacy i roboty się rozpoczęły.

Dnia 1 listopada, w uroczystość Wszystkich Świętych, odprawiłem pierwszą Mszę św. w Ndilu-Mamba.

Dnia 14 listopada zapewniony mam nocleg już pod swoim dachem. Chata moja na 14 metrów długa, a 4 m. szeroka, podzielona jest na trzy części. Na jednym końcu — mój pokój, na drugim — kaplica, w środku — izba szkolna. W niedzielę usuwa się zasłonę bambusową między kaplicą a klasą, i całość zmienia się w większą kaplicę.

II. Anna-Marya Ngombe.

Dnia 10 listopada wieczorem dowiaduję się, że *własny syn* wypędził przed czterema dniami Annę-Maryę do lasu, ponieważ czarownik oskarżył ją, że zjadła duszę niejakiego Msawu, zmarłego niedawno. Odrazu chciałem rozpocząć poszukiwania, ale moi robotnicy wynajdywali tysiące przyczyn, aby od tego się wymówić. Całą noc deszcz lał strumieniami. Nie mogłem spać. Myśl, że ta nieszczęśliwa umiera gdzieś z głodu i zimna, przygniatała mnie kamieniem.

Wczesnym rankiem zacząłem jej szukać wraz z dwoma robotnikami. O 10 minut drogi od miejsca, gdzie budujemy chatę, przedstawił się nam straszny widok. U stóp drzewa leżała istota ludzka, raczej szkielet, niż człowiek. Usta, nos i uszy były pokryte muchami. Tysiące białych robaków gryzło

oczy i krążyło po głowie, a przecież ten szkielet żył jeszcze. Musiałem zagrozić moim ludziom razami, aby ich skłonić do przeniesienia tego ciała do mej budującej się chaty.

Mimo starań Anna-Marya skonała po dwóch godzinach, nie odzyskawszy już przed śmiercią przytomności.

Nowe dzieło rozpoczęło się zatem cmentarzem i uzyskało opiekunkę w niebie. Nie wątpię bowiem, że dusza tej biedaczki dostąpiła zbawienia, gdyż otrzymała Chrzest św. przed kilku tygodniami i umarła jako męczenniczka, ofiara szatańskich przesądów.

Naczelnik obwodu dowiedziawszy się o tej zbrodni, postąpił z całą energią. Nieludzki syn i czarodziej zostali skazani na 2 lata aresztu i 5 lat wykluczenia z wioski. Nauka poskutkowała, gdyż od tego czasu ustały otrucia *mbundą*. Uczciwi murzyni oddychają teraz spokojniej.

(Dokończenie nastąpi).

ABISSYNIA I ABISSYŃCZYCY.

CZARNE KWIATY.

Różne szczegóły o Abissynii i jej mieszkańcach.

Przez O. Józefa Baetman'a, misyonarza Lazarystę.

(Ciąg dalszy).

Białe kwiaty.

Rozpoczynając niniejszą drobną pracę, zapowiedziałem, iż obok czarnych kwiatów ukażę Czytelnikom białe i czerwone. Zacznijmy od pierwszych. Kwiatami tymi będą listy, które z więzienia swego pisał nawrócony zakonik abissyński do Msgra De Jacobis, będącego więźniem równocześnie. Jeden z młodych kapłanów, wraz z nim więzionych, odzywa się pewnego razu:

— Mój Ojcze?

— Mów, synu, słucham.

— Oto nie dają nam już ani chleba, ani wody, zgoła żadnej strawy, czyż nie przyjdzie nam już umrzeć wkrótce? Słyszałem, iż tego rodzaju post zabija w przeciągu ośmiu dni człowieka; czas ten musiał już upłynąć.

— Synu mój, w tej ciemnicy niepodobna odróżnić dnia od nocy, jakże więc zdołałbyś je policzyć? Myślę jednak, że taka oktawa nie pozbawiłaby nas jeszcze życia. W każdym razie, synu, nie daleko nam do owego pięknego dnia, w któ-

rym dano nam będzie oglądać Jezusa twarzą w twarz i napawać się rozkoszą Jego obecności. Przybądź, dobry Jezu, Chlebie żywota, przyjdź Światłości wiekuista, o Jezu, przybądź!

List pierwszy.

Pozdrowienie naszemu Ojcu Justynowi (X. Biskupowi de Jacobis) ślą dzieci jego, wydarte, dzięki miłosierdziu Bożemu, ciemnościom schyzmy i herezyi. Oby wzmagała się w nim, jako i w nas, miłość do Maryi, Matki Jezusa! Co niechaj się stanie! Podniosło nas niemało na duchu pozdrowienie przesłane nam przez Ojca naszego duchownego. Lecz, niestety, jakież współczucie wzbudza w nas Jego udręczenie obecne, skoro wiemy, że cierpienie Jego duszy przewyższa jeszcze męczarnie ciała. Cóż bowiem znaczą katusze najcięższych kajdan wobec mąk serdecznych i obaw Ojca naszego? Próba nasza niczem jest w porównaniu do próby Ojca, do tego ukrzyżowania duszy, które Matkę Jezusową uczyniło Królową Męczenników! Ach! bo i naszem męczeństwem prawie wyłącznie stał się upadek braci naszych. Pod ciężarem tej myśli bolesnej nie odczuwamy prawie ran, jakie zadają drewniane dyby, nogi nam ściskające.

List drugi.

Dzięki dobroci Najwyższego, dobrze dzieje się w naszem więzieniu. „Dzisiaj nareszcie dano nam będzie pić z kielicha Mistrza naszego“ — powtarzamy sobie nawzajem radośnie.

Lecz grzechy nasze czynią nas zapewne niegodnymi tego szczęścia. Módl się Ojcze, módl się, prosimy przed walką nas oczekującą, ażeby wiara, za pomocą Bożą, odniosła chwalebne zwycięstwo. Amen.

List trzeci.

Dzieci twoje, trwające przy Wierze św. nie o własnej sile, lecz dzięki wszechmocnemu wstawiennictwu Maryi Niepokalanie Poczętej, zasyłają ci, Ojcze, dzięki z głębi serca za tę trochę przysłanej im słodyczy (nieco miodu). Oby ci ją niebo oddało stokrotnie! Przedziwnemi zaiste są drogi Opatrzności Bożej, bo tak jak z gorzkiego oceanu powstają deszcze użyźniające ziemię, tak z naszego więzienia wytryska i promienieje w dal olśniewające światło wiary. Z tym kaznodzieją wymownym przez swoje milczenie i my z kolei powiedzieć możemy: „Siedząc dniem i nocą na twardej podłodze więziennej, każemy milcząc. Usta nasze nieme, lecz nogi okaleczone obwieszczają światu jawnie: wierzcie w Kościół katolicki!“ Obyśmy w tym kaznodziejstwie świętem wytrwali do końca!

Kwiat szkarłatny.

Herezya nie czuła się nigdy powołaną do męczeństwa, ale apostołowie Chrystusowi są przeświadczeni, iż ziemia pozostaje jałową, że nie kiełkują na niej dusze, jeśli tej ziemi nie zrasza krew! „Sprawy, które zamierają — powiada L. Veuillot — są te, dla których się nie umiera, a grób męczennika staje się zawsze kolebką Kościoła!“ Czerwienił się często grunt Abissynii krwią swych męczenników, lecz widocznie jeszcze przelano jej za mało, gdyż nasienie nie wschodzi.

O. Coulbeau, jeden z weteranów misyi abisyńskiej, wydał w r. 1902 książkę zatytułowaną: *Męczennik abissyński.* *) Męczennikiem tym nie jest nikt inny, tylko ów nawrócony zakonnik, którego kilka listów przytoczyłem powyżej. Nazywał się Ghebra Michaël, co znaczy: „Sługa św. Michała.“ Nawrócony przez X. Biskupa de Jacobis, poświęcił życie nauczaniu wiary katolickiej i nawracaniu swoich współziomków. Uwięziony w Alitienie, wrzucony został do więzienia biskupa heretyckiego, śmiertelnego swego wroga. Zaraz na wstępie, satelici tegoż, prześladowcy, poczęli okładać Ghebrę zapamiętale kijami i pięściami. Zgnieciono mu klatkę piersiową i tak skatowano, iż rozeszła się nazajutrz pogłoska o jego śmierci. Nogi jego wtłoczone zostały w straszliwy „ghend“, który opisałem już poprzednio, i przez cały szereg dni pozostawiono go, zarówno jak i jego towarzyszy, bez pożywienia. Pewnego dnia, chociaż siedząc na ziemi, usunął się głową w dół na spadzistą i rozszczepioną podłogę więzienną, przyczem głowa jego i część korpusu przeszły przez ów otwór, zatrzymując się na dużej belce drewnianej. W pozycyi tej pozostał całe dwa dni, zanim go z niej wyzwolono. Po pięciu miesiącach tego twardego więzienia, poprowadzono go z celi więziennej do cesarskiego obozu.

Był to początek jego drogi krzyżowej. Biskup odszczepieniec napisał list do cesarza, list polecający mu szczególnie więźnia: „Poddam dzisiaj torturze „żyrafy“ (biczowania) owych ludzi przeklętych, zepsutych przez Francuzów, których mam w swoim ręku. Nie zwłócz z wzniesieniem rusztowania dla tego bezecnego starego sprzedawczyka, którego ci posyłam. *Sic dicit Pharao!“* Przybyłego do obozu poddają indagacyi, na co więzień odpowiada uroczystem wyznaniem Wiary katolickiej. Aby go za to ukarać, rozkazuje cassa (cesarz) wymierzyć mu 150 uderzeń w twarz „żyrafą“, to znaczy dużym biczem ze skóry tego zwierzęcia. Pod tymi razami upadł Ghebra Michaël prawie bez życia na ziemię. Wtedy zawołał król: „Weźcie duże baty wołopasów abissyńskich i mierzcie wszyscy w to jedno oko, jakie mu pozostało, aby wreszcie zdechł.“ I dodał jeszcze: „Niechaj najsilniejsi ćwiczą go z kolei, pod-

---

*) W języku francuskim. *(Przyp. Red.).*

czas gdy pierwsi użyją wypoczynku." Niepodobna było po tym rozkazie zliczyć ilości katów, a tem mniej razów, które zadawano z nieporównanem barbarzyństwem, podczas gdy męczennik powtarzał wciąż naukę katolicką, dotyczącą podwójnej natury Jezusa Chrystusa aż się kaci zmęczyli biciem. Zdawaćby się mogło, iż nieszczęśliwa ofiara porwaną została w strzępy, tymczasem, ku największemu osłupieniu obecnych, powstaje starzec i chodzi o własnej sile, nie mając na twarzy ani śladu przetrzymanych dopieroco katuszy, i ukazując nieuszkodzoną, przedziwnem światłem płonącą źrenicę. Zaprowadzono go z powrotem do więzienia. W dwa dni później rozpoczął się dlań ów długi pochód, który miał trwać dwa miesiące przez drogi nieprzebyte. Mając nogi zakute w kajdany, postępował za armią królewską, która kroczyła przeciw władcy „Choa".

Pewnego dnia, w którym zatrzymano pochód armii, stawiono znowu naszego zakonnika przed króla, który nastawał nań gwałtownie, aby się wyparł religii katolickiej. Poprzednio jeszcze, trzymając rewolwer w ręku, zgromadził „cassa" wokoło niezliczone tłumy i obwieścił im swoje nowe wyznanie wiary, nawskróś heretyckie, a wszyscy uczeni padli twarzą w proch, uznając ten nowy symbol religijny. Jedynie nasz męczennik wraz z trzema innymi obecnymi chrześcijanami zdobyli się na odwagę stawienia czoła „cassie". Dnia tego więc, kazał mu cesarz uznać wyznanie swego fabrykatu. Wówczas czcigodny starzec, wśród ciszy grobowej, która zaległa dokoła, ponowił głosem silnym i pewnym wyznanie wiary katolickiej. Rozwścieczony tem tyran skazuje go na śmierć; wloką go zatem na miejsce stracenia, aby rozstrzelać. Lecz błagania wzruszonego, płaczącego tłumu uzyskują ułaskawienie męczennika.

Ruszono w dalszy pochód, wycieńczony wszakże mękami starzec, zapadł na groźną chorobę żołądka, do czego przyłączyła się wkrótce dyssenterya. Pomimo zakazu króla, dano mu wierzchowca, na którym przymocowany każdego ranka, pozostawał tak aż do wieczora bez ruchu, na wpół martwy. Pełni dla niego czci i podziwu żołnierze, nazywali go: „Świętym Jerzym". Według legendy abissyńskiej, Święty ten utracił siedem razy życie za wiarę, i siedem razy je odzyskał. I Bóg jakoby chcąc zatwierdzić to nadane mu imię i cześć, jaką otaczali go żołnierze, w sam dzień 13 lipca, który to dzień poświęca kalendarz abissyński czci św. Jerzego — powołał do siebie sługę Swego, podczas pełnego pochodu armii, związanego jak zawsze, na mule, dźwigającego do końca kajdany, dla większej chwały Chrystusowej.

Żołnierze opłakawszy go, pogrzebali następnie u wejścia do jednej z wiosek, u stóp dużego drzewa, gdzie spoczywają po dziś dzień jego zwłoki. (Ciąg dalszy nastąpi).

Korespondencya misyjna.

MISYA WŚRÓD BATONGÓW.
(Afryka połudn.).

WEZWANIE.

Kochani Czytelnicy „Echa!“

Przychodzę dziś kilka chwil Wam zabrać opowiadaniem o ważnej misyi, pozostającej dotąd w cieniu. Prawda, że założenie jej nie sięga dawnych czasów, ale czytając, co następuje, przekonacie się sami o jej olbrzymiej doniosłości.

Plemię Batongów bardzo jest liczne, zajmuje ono prawie całą przestrzeń, zawartą w rogu utworzonym na zachodzie przez dwie wielkie rzeki: Zambezę i Kafuę. Plemię to było jeszcze w stanie barbarzyństwa przed dziesięciu niespełna laty. Obecnie kraj ten dostępny dla cywilizacyi i oczywiście wszystkie sekty zaczynają się doń wciskać.

Cóż Wam powiem o tym nowym ludzie? Jestże on zdolny i usposobiony do przyjęcia światła Ewangelii? Czy misyonarz może odwołać się sumiennie do serc wspaniałomyślnych o pomoc w nawróceniu tych biednych czarnych?

Uskarżano się nieraz, że misye wśród murzynów w Afryce południowej bardzo powolne czynią postępy. Czy można powiedzieć toż samo o Batongach? Pracowałem sam lat kilka nad nawróceniem kafrów z Przylądka. Więcej niż dziesięć lat czyniłem toż samo względem Matabelów. Mashonowie również mi są znani. Oddawałem się także ewangelizacyi pogan w samej dolinie Zambezy. Otóż mogę zapewnić z całą szczerością, że nigdzie nie znalazłem tak dobrego usposobienia, jak wśród Batongów. Jesteśmy tu dopiero od czterech czy pięciu lat, lecz, jeśli w ciągu tego czasu jest się codziennie w zetknięciu z nimi i przebiega się kraj we wszystkich kierunkach nieustannie, gdy ma się nadto długie za sobą doświadczenie i znajomość języka: nietrudno jest wyrobić sąd dosyć dokładny o ich usposobieniu.

Batongowie, krótko mówiąc, są gotowi do przyjęcia nauki religii i do zastosowania się do wymagań życia chrześcijańskiego. Misya ta istnieje od czterech lat przeszło, ale od dwu zaledwie mogliśmy się oddać na seryo apostolstwu. Przez długi czas był tu tylko jeden Ojciec. Od dwu lat jest nas dwóch i jeszcze ja musiałem skazać się na siedmiomiesięczne wygnanie z powodu choroby. Trzeci Ojciec do nas przybył; czwarty

sam jeden — osadzony poza Kafue. Jest więc nas wszystkich razem czterech Ojców, Francuzów: O. Moreau (ze szlachetnej Wandei), O. Casset (ze sławnej Sabaudyi), O. Torrend (z świętej krainy Puy) i wreszcie ja (z patryotycznej Alzacyi) — czterech, rzuconych na podbój tak wielkiego ludu, bez Sióstr i Braci koadjutorów! Jest nas czterech, a powinno być stu i żniwo już dojrzałe!

Poczciwych tutejszych murzynów zastajemy w całej ich prostocie. Zgubne wpływy nie zepsuły ich jeszcze, jak to, niestety, aż nazbyt często bywa gdzieindziej. Jeżeli kiedy, to teraz, przyszedł czas zakładania tu wspaniałych misyj. Nawet już tu w Chikuni, gdzie powstała pierwsza nasza misya, mamy przeszło 320 chrześcijan. Gdyby ilość misyonarzy proporcyalna była do liczby czarnych, gotowych stać się chrześcijanami, mielibyśmy ich może 3.000 zamiast 300. Za 2 lub 3 tygodnie 30 do 40 katechumenów będzie jeszcze ochrzczonych. Dokoła misyi wszyscy są ochrzczeni; zostaje tylko kilku ludzi starych wielożennych, którzy pewno wezwą misyonarza na łożu śmierci. Czego nam teraz trzeba, to — rozszerzenia się. Powinniśmy zakładać i pomnażać szkoły-kaplice. Przestrzenie, jakie dzielą wioski murzynów, są zbyt wielkie, by mogły być codziennie przebywane przez misyonarza. Tu trzeba iść pieszo wszędzie. Koni nie posiadamy i nie pragniemy. Cena konia jest tu olbrzymia. Mamy wprawdzie rower, ale na jakże długo starczy on na tych ścieżkach nierównych, z wybojami! W kraju tym drogi nie istnieją, a ścieżki w ciągu całej pory dżdżystej są zarośnięte. Trawa wówczas pokrywa wszystko i dosięga znacznej wysokości. Następstwo tego jest widoczne: rower zamiast nieść misyonarza, musi być przez niego niesiony. Odległość jednak i trudy podróży nie zniechęcają nas, gdy idzie o pozyskanie duszy dla Jezusa Chrystusa. Niedogodnem jest to, że nauka religii nie może być udzielana bez przerwy, gdy trzeba przebywać takie przestrzenie. W wycieczkach moich apostolskich trafiam ciągle na wioski, których mieszkańcy mówią mi: „My chcemy także być oświeceni co do naszych obowiązków względem Boga; ale to za daleko. Trzeba dnia całego, by dojść do was i wrócić. Przyjdźcie tu i uczcie nas tutaj.“ A ja im na to: „Ale i dla nas to za daleko. Mógłbym najwyżej tu przyjść raz na tydzień. A tym sposobem ileżby czasu potrzeba na waszą naukę!“ I na tem się kończy.

Pięćdziesięciu katechumenów, przygotowujących się teraz do chrztu, przebywa codzień odległość od 12 do 15 kilometrów. A gdy mówimy im: „Ale to za daleko! Przychodźcie co dwa dni“ — dobrzy ci ludzie odpowiadają: „Jeżeli nie będziemy przychodzić codzień, zapomnimy to, czegośmy się nauczyli dnia poprzedniego.“

Bardzo często przybywają tu gromadki młodych ludzi z bardzo daleka z prośbą o naukę i o pracę, ale, acz z ciężkiem sercem, musimy jednak zbywać ich odmową Pracy dostarczyć możemy tylko bardzo ograniczonej liczbie młodzieży. Co zaś do udzielania chrztu murzynom, mieszkającym zbyt daleko od nas, byśmy ich mogli odwiedzać stale, to nie uważamy tego za dobre, nie mając rękojmi dostatecznej wytrwania ich w wierze chrześcijańskiej.

Z drugiej strony nie sądzę, żeby znaleźli się w całej Afryce południowej murzyni cierpliwsi, uczciwsi i więcej mający prostoty, jak ci tutaj z plemienia Batongów. Możnaby powiedzieć, że cały ten lud jest jak dziecko. Co roku płacić musi podatek, (co było mu nieznane w czasach niepodległości). Większość żyje w wielkiem ubóstwie. Jeżeli chcą pracy za wynagrodzeniem, przedsiębrać muszą ze znacznem narażeniem się dalekie podróże do Bulawayo lub Salisbury i z tego powodu rozstawać się na długie miesiące ze swemi rodzinami. Ubrania prawie są pozbawieni. I jak go dostarczyć? Chłód z tego powodu wielkie cierpienie sprawia im w zimie. Głód również ich nie oszczędza. A pomimo to wszystko nigdy się nie skarżą: jeżeli to czynią, to śmiejąc się jak dobre dzieci. Błahostka może wywołać śmiech i radość u nich. Jeżeli odmawia się im czego, nie szemrzą nigdy, ale odchodzą z prostotą mówiąc: „Odmówili mi“, i zaczynają się śmiać. Musielibyście tu przebyć długie lata, chcąc spotkać tongę, kłócącego się ze swym bliźnim. Podróżnicy, a wielki Liwingston w szczególności, zachwycali się zawsze czarującą prostotą Batongów. Niema tu ani kastowości, ani różnic między ludźmi. Wielcy i mali, rodzice i dzieci siadają obok siebie na tej samej ławce podczas nauki. Jeżeli ojciec nie da właściwej odpowiedzi na pytanie księdza, dziecko śmiać się będzie i poprawi go, a ojciec bynajmniej się nie zagniewa, przeciwnie sam się zaśmieje. Przesądów względem białych nie mają oni żadnych. Ufają pierwszemu lepszemu. Urzędnicy państwowi mogą też być zadowoleni z poddania się i wierności tego ludu. Co do ich moralności — jeżeli wogóle istnieje moralność u czarnych w Afryce południowej — z pewnością nie stoi ona niżej jak u innych murzynów, jeżeli nie przewyższa poziomu tego.

Przedmiotem niniejszego artykułu nie jest jednak bynajmniej panegiryk Batongów. Mają oni też swoje wady i daleko im do doskonałości. Może nawet nie są tak dobrzy, jak sądzę. Co wszakże nie ulega wątpliwości, to że są oni bardzo zdatni i dobrze usposobieni do przyjęcia religii katolickiej. I religia katolicka powinnaby stać się religią narodową Batongów. My, jedni z pierwszych, znaleźliśmy się na placu, ale musimy śpieszyć się. Sekta amerykańska, znana pod imieniem Adwentystów Siódmego Dnia *(Seventh Day Adventists)*, rozwija wielką dzia-

łalność. Środków nie brak im widocznie, ale jeżeli nie zmienią metody, obawiać się ich nie potrzebujemy. Niestety! czemuż nie mamy więcej pomocników, czemu nie mamy więcej zasobów pieniężnych! Całe plemię Batongów byłoby nasze.

Wezwanie moje ma cel podwójny; osiągnięcie budowy kościoła i założenia posterunków drugorzędnych.

Dotąd udzielaliśmy się dokoła pierwotnego ogniska w promieniu 12 do 15 kilometrów, na tej bowiem odległości mamy chrześcijan. Byłożby jednak roztropnem chrzcić innych, oddalonych o 20, 30, lub 40 kilometrów stąd, nie mogąc czuwać skutecznie nad ich postępowaniem i ofiarować im stale pomocy religijnej? Musimy więc większą objąć przestrzeń i wznieść dokoła szkoły-kaplice, gdzie czarny chrześcijanin zająłby miejsce misyonarza, ale któreby misyonarz odwiedzał regularnie.

Jeżeli jednak ustanowienie posterunków drugorzędnych nagli, jest inna sprawa, bardziej jeszcze na sercu nam leżąca i jeszcze może pilniejsza. Potrzebujemy **kościoła,** a brak nam go. Tymczasowo jako kościół służy mały lokal, pierwotnie na dortuar przeznaczony dla pracujących u nas młodych ludzi. Oddawna już ten mały dortuar jest zaciasny do pomieszczenia wszystkich chrześcijan, a tymczasem chrzty mnożą się ciągle. Nie chcemy bynajmniej gmachu kosztownego, wyrzekamy się wszelkiej architektury, idzie o prosty budynek dość obszerny, by pomieścić wszystkich chrześcijan i módz odprawiać służbę Bożą w sposób jej godniejszy.

Jest to świetna sposobność dla ludzi wielkiego serca. Jałmużny ich z pewnością dobrze będą umieszczone. Dostarczenia cegieł sami podjąć się możemy, ale kościół nie powstaje z samych cegieł tylko. Trzeba nam jeszcze drzwi, okien i dachu.

Oby Zbawiciel w miłosierdziu Swojem raczył natchnąć jaką osobę dobrej woli pragnieniem poświęcenia się dla tej misyi Batongów i złożenia większego daru! A samo z siebie wynika, że wiele Mszy św. i wiele modlitw będzie tam ofiarowanych na intencyę Dobroczyńców.

Raz jeszcze proszę, Czytelnicy kochani, nie zapominajcie o misyi wśród Batongów i niech Pan Bóg Wam to wynagrodzi!

C. Bick T. J.

Drobne wiadomości misyjne.

Męczeństwo Misyonarza. (Kolonie portugal.). Z listu W. O Keilinga dowiadujemy się o niesprawiedliwem, oburzającem uwięzieniu i długiem męczeństwie W. O. Przełożonego z misyi Massaca. W. O. Prefekt apostolski pisze:

„Dnia 26 stycznia uwięził jeden z oficerów, nie otrzymawszy w tym względzie żadnego polecenia, W. O. Misyonarza, od 18 lat niestrudzonego pracownika dla dobra misyi, której jest założycielem. Dłużej niż przez miesiąc konwojowali go czarni żołnierze to w tę, to w ową stronę, jak prostego złoczyńcę, aby go wkońcu zaprowadzić przed sąd w Lubango. Dlaczego? Dlatego, że oskarżyciel nie umiał sobie zdać sprawy z tego, że wykup dzieci uwięzionych, a handel niewolnikami, to dwie rzeczy różne.

Po otrzymaniu wysokiej kaucyi, dozwolono W. O. Misyonarzowi zamieszkać tymczasem w misyi Huilla.

Fakt ten godny jest napiętnowania tem więcej, że oficer, który uwięził Misyonarza, bez wyższego nakazu, nie miał do tego prawa, ponieważ Benguella stanowi oddzielny okręg, który do niego nie należy. O takim postępku musiałby rozstrzygać sąd międzynarodowy. Jest to miarą zmartwień i ucisku, jakie nam wszystkim przypadły w udziale “

Śpiączka. W. O. Reesinck, z Kongr. św. Józefa z Mill-Hill, pisze:

„Przed 15 laty przyszli misyonarze do kraju Busoga (w pobliżu jeziora Wiktoryi) i wtedy nie znano tu jeszcze śpiączki. W roku 1901 stwierdził lekarz, że ośmiu ludzi popadło w chorobę dotychczas nieznaną, która się dla nich zakończyła śmiercią. To był początek... W pół roku później zmarło wśród oznak tej samej choroby 200 mieszkańców wyspy Bnuma, w roku następnym 1902 liczba wypadków śmiertelnych wzrosła do 30.000, w r. 1903 przeszła 90.000. Cyfra śmiertelności w obecnej chwili nieznana, ale wiadomo np., że jedna z okolic Bussogi, w której żyło niegdyś 300.000 ludzi, zupełnie opustoszała, niema tam obecnie ani jednego człowieka!“

Wiadomości ze Św. Kongregacyi Rozkrzewienia Wiary.

Ojciec św. raczył utworzyć nowy wikaryat z prefektury Wybrzeża Kości Słoniowej, dzieląc terytoryum, przeprowadzeniem linii poziomej, na okręgi południowe: (Górn. Kavally, Górn. Sassandra, półn. Bouté, Nzi Cornoi i Indenie) i północne: (Tuba, Maukono, Kong i Bunduka). Okręgi północne tworzą nową prefekturę nazwaną *Korogo.*

W. O. Juliusz Moury, dotąd Prefekt apostolski Wybrzeża Kości Słoniowej, mianowany został Wikaryuszem apostolskim, otrzymując godność Biskupa.

Jego Świątobliwość Pius X przyjął zrzeczenie się obowiązków Wikarysza apost. Madagaskaru Centr. ze stony Najprzew. O. Jana Chrz. Cazet T. J. i naznaczyć raczył jego następcą Najprzew. O. Henryka de Saune, byłego Sufragana.

Dekretem Św. Kongregacyi Rozkrzewienia Wiary mianowany został O. Stanisław de Vos T. J. Prefektem apost. Koango w Kongo belgijskiem, zaś W. O. Oswald Waller, z Seminaryum misyj afrykańskich w Lyonie — Prefektem Nigeryi Wschodniej.

Kronika Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Rzym. *Dnia 3 listopada.* Odwiedziny W. O. Henryka Limbrocka, ze Zgrom. OO. Słowa Bożego, w towarzystwie O. Prokuratora w Rzymie. — O. Limbrock, nowo mianowany przełożony misyi nad Dolną Zambezą, wsiada na okręt w Neapolu 6 listopada w celu udania się przez Chindę do Boromy i objęcia tam misyi Ojców Towarzystwa Jezusowego, którzy, jak wiadomo, zmuszeni zostali przez rząd portugalski do opuszczenia misyi na terytoryum tego państwa.

Sobota, 4 listopada. W. O. van't Westeinde, misyonarz ze Zgrom. Oblatów św. Franciszka Salezego, z wikaryatu apost. Rzeki Oranje, sprawił nam radość swemi odwiedzinami i przywiózł wiadomość od X. Biskupa Simon'a. O. Westeinde, rodem Holender, zachęca nas do osiedlenia się w jego ojczyźnie, gdzie, jak sądzi, nie ominęłaby nas sympatya i znalazłyby się dobre powołania. Nasza Gener. Kierowniczka chętnieby to uczyniła, trzebaby jednak pierwiej pomnożyć siły, jakiemi rozporządza, tu bowiem — jak na misyach — pracy wiele, a robotnic mało.

Wtorek, 7 listopada. **Ojciec św. raczył udzielić naszej Gener. Kierowniczce prywatnej audyencyi.** Łaska ta tem większą dla nas ma cenę, że Jego Świątobliwość zmuszony jest szanować się już od zeszłego lata i że z tego powodu trudno o posłuchania prywatne. Wiele osób opuściło Rzym, nie doznawszy tej pociechy. Ojciec św. rozpytywał dobrotliwie o Sodalicyę. Wiadomość o wydawnictwie „Echa" angielskiego od r. 1912 i o drukowaniu tegoż w naszej drukarni przy Via dell' Olmata, zainteresowała Piusa X. Przy końcu audyencyi Jego Świątobliwość ofiarował naszej Gener. Kierowniczce medal z bronzu ze swym wizerunkiem, oraz udzielił błogosławieństwa apostolskiego jej i „wszystkim o których jej idzie." Nasi Przyjaciele i Dobroczyńcy mogą zatem być pewni, że w znacznej mierze wzięli w tem błogosławieństwie udział.

Środa, 15 listopada. Prokurator generalny Zgromadzenia OO. Misyonarzy de la Salette przedstawił Gener. Kierowniczce W. O. Gaechet, wracającego do Afryki. Czcig. Misyonarz

udzielił wiadomości pocieszających o szybkich postępach religii katolickiej wśród Malgaszy. Brak tylko pracowników i środków materyalnych staje na przeszkodzie w osiągnięciu obfitszych owoców.

CZARNOKSIĘŻNIK ZE SZCZEPU KIKUJU

przez W. O. Bugeau.

Zły duch ma wszędzie swego sługę, swego misyonarza, którego hasłem: „przeszkadzaj kapłanowi!"

W krajach murzyńskich sługą tym jest czarnoksiężnik. Wśród Kikujów jest to „mundu mugo", uczony.

I jakżeby mogło być inaczej, gdy urząd kapłana, lekarza, aptekarza, weterynarza, sędziego — łączy się w jego osobie! Wszystkie zaś do tego prawa zawdzięcza on jednej jedynej zasłudze, a mianowicie, że jest synem swojego ojca. Powierzchowność czarownika pomimo to niczem prawie się nie wyróżnia. Strój jego, używany i przez innych krajowców, nie posiadających żadnej rangi, stanowi albo tradycyonalna skóra kozia, albo płachta, a, zarówno jak jego rodacy, zdaje się, jakoby ślubował nigdy się nie umywać.

Mały zatłuszczony worek, z którego wystaje flaszka z tykwy z długiem włosiem, zamiast etykiety, towarzyszy mu zwykle.

Ta apteka przenośna, to jedyne jego odznaczenie. Dzięki temu *incognito* ma on wszędzie wstęp wolny, działalność zaś jego nie podlega żadnemu śledztwu. Laboratoryum jego, również jak trybunał sędziego, nie jest kompromitujące: ciemny kąt wśród zieleni... Tam uzdrawia on, spowiada, sądzi, składa ofiary.... Potem głód zaspakaja, (co jest zakończeniem wszystkich ceremonii).

Echo słów jego do misyi nie dolatuje, ale nazajutrz dzieci bardziej, niż zwykle, stronią od Ojca, staruszki są podejrzliwe, uścisk ręki starców mniej serdeczny... daje się słyszeć, że jeden z chrześcijan stracił narzeczoną. „To jeszcze sztuczka czarownika" — mówi sobie misyonarz — ale jak na to poradzić? Gdzie zaskarżyć w istocie? Rząd w te szczegóły nie wchodzi, gdzieindziej zaś, w świecie Kikujów, nikt nie poprze Ojca.

Któżby śmiał zresztą i ktoby chciał obrazić czarownika! Wszak to doradca wodzów, nadzieja chorych, pasterz ludu!

Chorzy lubią czarownika. Żaden lekarz nie jest nadeń słodszy; żadne lekarstwa – łatwiejsze do zastosowania, niż te, których on udziela; nic nie może być mniej szkodliwem, jak

jego operacye chirurgiczne. Jest to zwykłe obmycie twarzy i rąk w wodzie nasyconej nawozem. Brudne to trochę, ale Kikuju nigdy z tego powodu nie czuje się dotknięty.

Jako spowiednik [1]) czarownik jest pobłażliwym bez miary.... Pokutę naznacza łatwą, zawsze zabicie barana. Za barana oczyszcza sumienie winnego ze wszelkiej zmazy, jedna go z Bogiem i nie żąda żalu za grzechy. Zresztą, ponieważ grzech jest rodzajem choroby, lub wypadkiem jakimkolwiek, pragnienie powrotu doń przedstawia trudności.

Umierający nie obawia się również czarownika. Jeżeli go widzi, przekonany jest, że nie umrze, gdyż nic niema groźnego, czarownik o tem zapewnia. A mógłżeby się mylić?

Jeżeli chory umarł, nikt nie ma o to urazy do czarownika, ani umarły, ani jego krewni. Nie jestże to wola Ngai? Słowo to zawsze na ustach dla pokrycia bezsilności tego fałszywego lekarza.

Czarnoksiężnik szczególne ma uznanie u ludzi starych... swych pasożytów. O, gdy ci go tylko dojrzą z workiem w ręku, kroczącego wśród krzaków, mówią sobie: „Niezawodnie idzie tu o spowiedź, o poradę lekarską... idzie o pieczeń... chodźmy!...“ I jak psy, węsząc zwierzynę, zdążają za nim.... Czarownik, człowiek przebiegły, nie każe się prosić o rozdanie kawałków pieczeni, która go nic nie kosztowała. Pacyent zaś zostaje wysmarowany nawozem ofiary. Jeżeli wyzdrowieje, cóż go może obchodzić mięso! Krewni jego, którzy ponoszą koszta, wynagradzają to sobie, podwajając porcye. Starzy uraczają się, o ile mogą, bo to wiele nie kosztuje. Wszyscy więc są zadowoleni, i chorzy, i zdrowi, ci ostatni, bo sami jedzą, tamten — gdyż jedzą za jego zdrowie....

Innym razem, zamiast jeść za zdrowie chorego, piją.

Po udzieleniu długiej porady, czarownik odsyła krewnych chorego, mówiąc: „Przyprawcie *tembo,* nalejcie nieco na kamień ogniska u chorego, nieco na podwórko, resztę wypijcie plując [2]) na niego od czasu do czasu.“ Wówczas następuje tego rodzaju widowisko: w ciemnym kącie chaty pacyent jęczy i wije się na swym tapczanie, obok zaś rój starców upija się hałaśliwie i, pokrywając go śliną, cieszy się, że można wypić tak tanim kosztem.

Wśród Kikujów ufność względem czarownika jest bez granic. Ten brudny skąpiec przysięga, że rozmawiał z Bogiem, z Ngaï w nocy, (zawsze odbywe się to w nocy); potem obudził się, powiadomiony o wszystkiem: o przyszłości, o chorobach, o pogodzie. I wszyscy wierzą mu i idą do niego. Wzgląd ludzki nie powstrzymuje nawet tych młodych wojowników, pysznych, wysmarowanych tłuszczem, których uważaćby można

[1]) Jak wiadomo, wśród Kikujów istnieje praktyka w rodzaju wyznania grzechów.

[2]) Plucie na kogoś jest tu dowodem względów.

za libertynów tego kraju, gdyby tu wszyscy nimi nie byli. Starcy, tak dumni ze swych białych włosów, nie uważają za poniżenie zasiągnięcie rady u młodego czarownika. Dla dowiedzenia się, czy jej małe dziecko umrze, czy żyć będzie, matka, choćby najbardziej skąpa, idzie do czarownika, zapominając ile razy oszukano ją i okradziono. Czarownik przysiada na trawie, z pół godziny układa małe kamyczki, wymawia kilka słów bez znaczenia, otrzymuje zapłatę, matka zaś wraca tyle wiedząc, co i przedtem.

Patrzcie, jak wyzyskuje on łatwowierność tych biednych ludzi! Bardzo niedawno był taki wypadek: chory nikł w oczach pomimo starań czarownika; krewni jego zwracają się więc do innego, używającego większej sławy. Ten przybywa z miną uroczystą, widocznie pochlebia mu to bardzo. Wyjmuje ze swego worka jakieś proszki i każe je połknąć choremu. Zgadnijcie, czego żądał, jako honoraryum? Wołu! A jednak wkrótce potem, pomimo lekarstw tego szkodnika, chory umarł.... Oczywiście tak chciał Ngaï.

Czarnoksiężnik — to coś, jak chan Kikujów. Czego żąda, to — otrzymuje. Nędza nie dosięgnie go nigdy. W dzień np., gdy żołądek ma pusty, przechodzi koło trzody, spostrzega ładną sztukę, zbliża się więc do pasterza i mówi z miną tajemniczą, i pewnością wykwalifikowanego weterynarza: „Czy nie uważasz, że to zwierzę jest chore?“ albo: „Widziałem, jak zaczepiło się o powijaki twego dziecka... Zabij to bydlę, lub miej się na baczności co do całej trzody!“ Na poczekaniu nieszczęśliwe stworzenie zostaje życia pozbawione... i oto czarownik siedzi za stołem... Gdy się nasyci, oddala się, a wszyscy mu dziękują. (Dokończenie nastąpi).

ODPUST ZUPEŁNY,

którego w styczniu dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

Dnia 6 stycznia, w uroczystość ŚŚ. Trzech Króli.

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

Zamknięcie redakcyi 12 grudnia 1911.

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.
Przedruk artykułów i listów dozwolony tylko z wymienieniem źródła.

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: ***Zofia Popielówna.***

W Krakowie. — Drukarnia „Czasu“ pod zarządem A. Świerzyńskiego.



Rodzina chrześcijańska w Loango.